

Zabawa w szkołę

Można pójść do teatru i dobrze się tam bawić, oglądając udaną komedię. Można śmiać się głośno i bez troski — nie w tym zlego. Chwała realizatorom za udaną rozrywkę. Ale gdy teatr chce nie tylko bawić, lecz i wychowywać, uczyć, staje przed szczególnie trudnym zadaniem.

Podjął je Jerzy Krasowski inscenizując „Turandota, czyli kongres wybielaczy” Brechta na scenie krakowskiego Teatru im. Słowackiego. Postawiony zostaje problem przydatności społecznej inteligencji, jej wartości moralnych. Tui (Telegt-Ualiści-In, czyli intelektualisci), występujący na chińskim dworze cesarskim jako „wybielacze” prawdy, są małymi, pozbawionymi wszelkich wartości człowieczkami, kupczącymi swą wiedzę i umiejętnościami myślenia. Obecnie jest im poczucie odpowiedzialności za swe działania, nie dbają o ich konsekwencje społeczne.

Ta, bardzo ostra przeciw, krytyka inteligencji przedstawiona jest w konwencji komediowej, lekkiej, zabawnej. Swobodny ton owych partii spektaklu konsekwentnie wprowadza i podkreśla lekką muzyka, liczne gagi, bardzo jednostronne — humorystyczne potraktowanie postaci: infantylny cesarz (Edward Rączkowski), sexy Turandot (Joanna Bogacka), prymitywny tyran-bandyta (Janusz Ostrowski), śmieszni, pozbawieni rysów indywidualnych poszczególni Tui.

Udane sceny ukazujące szkołę Tui, obnażające sposoby kształcenia młodych ludzi na sprzedajnych konformistów, kabaretowe obrazki kongresu „wybielaczy”, rozegrane przy współudziale dobrej scenografii — to pozostaje w pamięci po wieczorne spędzonym z „Turandot”. Komedia niesie z sobą poważniejsze treści. Można z nimi dyskutować, nie zgadzać się ze zbyt jednostronnym oświetleniem

problemu, krytykować gagi nie zawsze najwyższej klasy — ale coś pozostaje... Został podjęty ważki społecznie problem, i to w sposób trafny: z poletem, żywo, z dużą swobodą, bez patosu i napuszoneści.

Jednakże „Turandot” nie chce być tylko ośmieszeniem i krytyką inteligencji. Idzie dalej: próbuje dać jakieś rozwiązanie problemu. Brecht jest konsekwentny — po prostu pozbywa się skompromitowanych Tui. Rezygnuje z inteligencji jako odrębnej warstwy, na jej następców wyznacza chłopów, którzy „będą mieli wielkie pola, a więc i będą mogli oddawać się wszelkim wielkim studiom”.

Ale Krasowski nie jest aż tak okrutny. Daje inteligencji jeszcze jedną szansę, którą wykorzystają mogą przez zjednoczenie się z masami. Ów moral, wypowiadany przez chłopca Sena (Bolesław Smela) w tonacji całkowicie serio, wyrwany jest nie tylko z konwencji przedstawienia, ale i z jego treści tak dające, iż zdaje się należeć do innej sztuki, nie tej, którą oglądamy. Zostają wypowiedziane słowa. I to, niestety, wszystko. Krasowski staje się moralizatorem, operującym truizmem tak ogólnikowym, że w rzeczywistości nie znaczącym dziś nic. Brzmiałym, jak frazes zawsze wtedy, gdy nie towarzyszą mu konkrety.

Do tego moralu Krasowski stara się zresztą prowadzić od początku spektaklu poprzez wyłączenie z konwencji komediowej wszystkich scen związanych z Senem, reprezentującym zdrową moralność, bezinteresowność, wiarę w wiedzę i myśl ludzką. I głoszącym, wbrew wszystkiemu, pochwałę Tui, lecz wyłącznie za ich osiągnięcia techniczne: dzięki inteligencji powstał przecież most.

Ale czy nauka wygłaszana przez Sena rzeczywiście coś zafatwia, czy nie jest wyłącznie „opatologią”? Przecież ów moral przez swą ogólnikowość i brak konkretnych przybiera postać jedynie mentorską. Czy komedia, by uczyć, musi być moralizatorska?

BARBARA DRWOTA

„Turandot, czyli kongres wybielaczy” Bertolta Brechta, w przekładzie Romana Szydłowskiego. Opracowanie tekstu i reżyseria: Jerzy Krasowski, scenografia: Wojciech Kąkowski, muzyka: Adam Walański. Teatr im. Słowackiego w Krakowie (polska prapremiera).